

Gdy było za pięć czwarta, straciłem cierpliwość. Stałem u podnóża schodów i spojrzałem w górę. Drzwi od łazienki wciąż były zamknięte.

— Alex?

Brak odpowiedzi.

— Alex! Pospiesz się, ona zaraz tu będzie...

Drzwi się uchyliły i Alex wysunęła głowę — głowę i nagie ramiona.

— Przepraszam — powiedziała. — To zajmie tylko chwilę. Pobrudziłam sobie koszulkę, staram się to sprać.

Nie wiedziałem, gdzie podziąć wzrok.

— Uhm... dobra... w porządku... Po prostu... sama wiesz...

— Za sekundę będę go...

Wtedy rozległ się dzwonek.

Już po samym jego dźwięku wiedziałem, że to była ciocia Jean, brzmiał złowrogo. Spojrzałem szybko na drzwi wejściowe i z powrotem na Alex. Pomimo paniki nie mogłem nie zauważyć, jak inaczej wyglądała. Nie było w tym... no, wiecie... nic niewłaściwego, tylko mignięcie nagich ramion i jednej ręki. Ale w jakiś sposób pełne gracji, jak u aktorki. Jak wielkiej gwiazdy przygotowującej się do najważniejszej sceny.

— Martyn! — szepnęła.

— Zostań tam — odszepnąłem. — Zamknij drzwi i staraj się być cicho. Spróbuję ją spławić najszybciej, jak się da.

Znowu rozległ się dzwonek, domagający się, by na niego zareagować. Poczekiałem, aż Alex zamknie za sobą drzwi, kilka razy głęboko nabrałem powietrza i otworzyłem. I oto ona — ciocia Jean. Sztywna, wyprostowana, z gniewnym wyrazem twarzy, jakby musiała czekać na progu jakieś tysiąc lat.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

Blade światło zimowego słońca przebiło się w końcu przez chmury i odbijało w dachach samochodów zaparkowanych po drugiej stronie ulicy. Naleśnikowata twarz cioci Jean nasiąkała słońcem niczym bibuła.

Cofnąłem się i z nerwowym uśmiechem wpuściłem ją do środka.

— Dziękuję — powiedziała.

Jej brązowy płaszcz zaszeleścił, kiedy wchodziła do przedpokoju. Wyglądała niedorzecznie. Koścista, o szorstkiej skórze, ze sterczącymi łokciami i krzywymi nogami, jak postać z kreskówki. Szalony, stary ludzik.

Zdjęła płaszcz i oddała go mi, nie obdarzając mnie ani jednym spojrzeniem.

— Tata jest chory, ciociu — powiedziałem, wieszając jej garderobę. — Leży w łóżku.

— Chory? — prychnęła. — To on to tak teraz nazywa?

Przełożyła pasek torebki przez ramię i poprawiła sukienkę. Tę samą od zawsze, kremową, sztywną z lśniącoymi, mosiężnymi guzikami. Tak sztywną, że gdyby ją postawić, nie przewróciłaby się.

— Nie, to nie to, jest naprawdę chory — powiedziałem. — Pewnie grypa, albo jakiś wirus.

Znowu prychnęła. Głęboki, mokry charkot z otchłani gardła, połączony z falowaniem nozdrzy i uniesioną górną wargą. Miała nadzwyczaj małe zęby, zupełnie jak u dziecka. Małe i równiutkie. Zawsze się zastanawiałem, czy aby nie sztuczne. Przemaszerowała do salonu, a ja podążyłem za nią, jak ciełą za swoją matką.

— Faj! — zawołała. — Co to za zapach, na litość boską?

— Kanalizacja — wykrztusiłem. — Kawalek dalej rozkopali kanalizację.

— Nic nie widziałam.

— No nie, bo oni ją rozkopali kilka dni temu. Pogotowie techniczne przekopało całą drogę. Pewnie coś spartaczyli.

— Hmm... — powiedziała.

Następnie ruszyła na obchód salonu, zaglądając w każdy kąt, szukając brudu, puszek po piwie, butelek. Stałem w miejscu, obserwując ją. Miałem nadzieję, że jest tak szalona, na jaką wygląda. Włosy na czubku jej głowy przypominały niebie-

ski druciak, sztywny i nieruchomy. Dlaczego ona nosi tę fryzurę? Czy myśli, że to dobrze wygląda? Poza tym, jakie to jest w dotyku? Jak plastikowa szczotka? Jak jeź? — zastanawiałem się.

— Co w szkole? — zapytała.

— Co?

— Nie mówi się: co. Mówi się: słucham.

— Słucham?

— Szkoła, Martyn. Jak ci idzie w szkole?

— Okej — wzruszyłem ramionami.

— Okej? A cóżby to miało znaczyć?

Potałem kark.

— Wszystko w porządku, ciociu. Dziękuję za troskę.

Podeszła i zatrzymała się niecały cal ode mnie, patrząc mi prosto w oczy. Pachniała cytryną i wybielaczem, i jeszcze perfumami dla starszych pań.

— A teraz, Martyn — powiedziała bardzo poważnym głosem — chciałabym, żebyś powiedział mi prawdę.

Wpatrywałem się w jej twarz, unikając oczu. Długi czarny włos wyrastał z brodawki na podbródku. Pory skóry na policzkach przypominały malutkie niebieskie gwiazdeczki.

— Jak się czujesz? — wysapała. — Tak naprawdę.

Oblizałem usta i spróbowałem przełknąć ślinę.

— Dobrze, ciociu. Naprawdę. Wszystko w porządku.

— A co z nim?

Wymówiła: *nim*, jakby to było najohydniejsze słowo w języku angielskim.

— Wszystko okej... bardzo się stara, serio. Wszystko jest dobrze, w domu wszystko jest super.

Spojrzała mi głębiej w oczy, starając się odczytać moje myśli, potem odwróciła się i powiedziała coś, co zabrzmiało jak podejrzliwe: *bm*.

— Więc gdzież on jest? — zapytała lekceważąco. — Gdzie jest nasz „pacjent”?

Kiedy wchodziliśmy po schodach, serce waliło mi jak szalone, a w żołądku miałem rój os. Nie przestawała węszyć, nic

nie mówiła, tylko węszyła. Niuch, niuch, niuch... jak labrador w poszukiwaniu kości. Nie mogłem się powstrzymać, by przechodząc obok, nie spojrzeć na drzwi łazienki, wyobrażając sobie zamkniętą tam Alex, wyobrażając sobie...

Zatrzymaliśmy się przed sypialnią taty.

— Pewnie ciągle jeszcze śpi — powiedziałem. — Przez całą noc nie zasnął.

Ciocia Jean przewróciła oczyma.

— Chciałem powiedzieć, że nie mógł usnąć — tłumaczyłem. — Nie zmrużył oka, przez całą noc biegał, bo było mu niedobrze, no wie ciocia, tam i z powrotem.

Obdarzyła mnie sceptycznym spojrzeniem.

— Otworzysz wreszcie drzwi?

Czasami zdarza się w życiu, że trzeba zrobić coś, na co się kompletnie nie ma ochoty. Nie ma wyboru, trzeba to zrobić. Nie ma co marzyć, żeby było inaczej, żeby cofnąć czas, żeby otrzymać kolejną szansę, bo nic się nie zmieni, nie możesz cofnąć czasu, nie dostaniesz kolejnej szansy. I oto stałem tam, mając za chwilę zaprezentować ciocie Jean jej zmarłego brata, nie tracąc nadziei, że uda mi się jej wmówić, że leży chory w łóżku, śpi. Nie umarł, lecz zasnął na wieki.

Nie miałem wyboru, rozumiecie? Nie miałem żadnego wyboru.

W takiej sytuacji pozostaje jedynie powiedzieć sobie: raz kozie śmierć! A potem po prostu zrobić to.

Otworzyłem drzwi i weszliśmy.

— Uhhh! Znowu ten smród. Mój Boże!

Zignorowałem ją i podszedłem na palcach w kierunku zaścianionego i cuchnącego łóżka.

— Tato? — szepnąłem. — Tato? Ciocia Jean przyszła.

— Dlaczego tu jest tak ciemno? — jęknęła. — Nic nie widzę.

— Światło go razi — wytłumaczyłem, pospiesznie usuwając monety z powiek taty. Całkowicie o nich zapomniałem. Na szczęście jego oczy pozostały zamknięte. Sięgnąłem

pod kołdrę i włączyłem dyktafon. Spod pościeli wydobył się przytłumiony ciężki charkot oddechu, chrapanie. Zbyt głośno, więc po omacku znalazłem pokrętko i ściszyłem nagranie.

Ciocia Jean stała na środku pokoju, cmokając z niezadowolaniem.

— Mój Boże, co za odrażające miejsce.

Drżąc, wsunąłem rękę pod głowę taty, zupełnie zimną, bez życia.

— Śpi jak zabity, ciociu — odpowiedziałem.

— Doprawdy?

Zbliżyła się do łóżka z wyraźną obawą. Chrapanie wypełniało pokój. Czy aby nie przesadziliśmy? Poruszałem głowę taty w rytm oddechu.

Ciocia Jean zatrzymała się kilka stóp od łóżka z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Hm — mruknęła.

Pochyliła się, usiłując coś zobaczyć. Wstrzymałem oddech.

— Jest trochę... błady.

— Ostatnio prawie nie je — powiedziałem.

— A co mu się stało w głowę?

— W nocy wszedł na drzwi i ohydnie ją sobie rozciął.

Przysunęła się jeszcze bardziej, pociągając nosem.

— I znów ten zapach.

— Ma... hm, kłopoty żołądkowe.

Zaczynałem się niepokoić, czy nagraliśmy dosyć chrapania. Co zrobię, jak taśma się skończy?

Moje serce zaczęło walić, kiedy ciocia Jean podeszła jeszcze bliżej.

— *Łyliam? Łyliam?* — wyciągnęła rękę.

— Lepiej nie, ciociu — powiedziałem. — To może być zaraźliwe.

Szybko cofnęła się.

Na jej twarzy widać było wyraźną konsternację.

— Wygląda trochę... Nie, Martyn, on z całą pewnością nie wygląda dobrze. Czy rozmawiałeś już z lekarzem?

Prawie się roześmiałem.

— Jutro — powiedziałem. — Lekarz przyjdzie jutro.

— Spójrz na jego oczy. Dziwnie wyglądają — powiedziała, wpatrując się w półmrok. — Chyba powinnam wezwać lekarza już zaraz.

— Nie, naprawdę, to nie ma sensu. Telefonowałem już wcześniej i powiedzieli, że to najprawdopodobniej ten wirus, który atakuje teraz wszystkich. Najwidoczniej robi też coś z oczyma.

— Hmmmm — powiedziała.

Dyktafon zaczął zwalniać — pewnie baterie słaby. Chrapnięcia stawały się coraz wolniejsze, a mechanizm zaczynał zawodzić.

— A to co za dźwięki?

— Rury — odpowiedziałem — coś jest nie tak z tą kanalizacją.

— Rury, kanalizacja, czy jest coś, co w tym domu funkcjonuje poprawnie?

Taśma zaczęła naprawdę zawodzić, a wydobywające się z niej dźwięki przypominały jęki umierającego potwora morskiego.

— Myślę, że powinniśmy już sobie pójść — zaproponowałem. — Dajmy mu pospać.

Kiedy odsuwając się od łóżka, wyciągnąłem rękę spod szyi taty, jego głowa kiwnęła się do tyłu i stuknęła o wezglowie.

— Co to było? — zapytała ciocia Jean.

— Nic. Chodźmy — pogoniłem ją. — Zrobię herbatę.

— Ręce brzydko ci pachną — skomentowała, gdy ciągnąłem ją w kierunku wyjścia.

— Vaporub — wyjaśniłem, oddychając z ulgą, gdy zamykałem za sobą drzwi do sypialni.

Zrobiłem herbatę, otworzyłem paczkę kruchych herbatników i oto siedzimy sobie, ciotka i bratanek, w kuchni, popi-